

Lidia Czyż

Odrzucone dziedzictwo

Historia prawdziwa



Wydanie I • Ustroń 2024

*Z ogromną wdzięcznością
dla wszystkich wspaniałych osób,
dzięki którym mogę docierać
na spotkania z czytelnikami*

Walczę z głosem w głowie, który mówi:
„Nic nie jesteś wart.
Wciąż zawodzisz, nie dasz rady”.
Nie chcę słuchać takich kłamstw.
Kilka błędów i sukcesów,
czy to wszystko, co dziś mam?
Powiedz, co Ty o mnie myślisz,
kim właściwie jestem ja?

Mówisz: „Kocham cię”, gdy ja nie czuję nic.
Mówisz: „Siłę masz”, gdy ja opadam z sił.
Mówisz: „Trzymam cię”, gdy ja upadam znów.
Kiedy jestem sam, mówisz: „Jesteś mój”.
Ja wierzę Ci, o wierzę Ci,
w to, co mówisz mi, wierzę Ci.
Ważne dla mnie jest już teraz tylko to,
co myślisz Ty.
Mą tożsamość znajdę w Tobie,
Ty nadajesz wartość mi.

Lauren Daigle, *You say*, (tłum. Agata Dwulat)

Podziękowania

Siedem lat temu podczas konferencji usiadłam przy stoliku z pewnym małżeństwem. W trakcie kolacji długo rozmawialiśmy, a kilka dni później otrzymałam maila: „Przesyłam Ci moją historię. Napisałam ją jakiś czas temu «do szuflady», być może aby odreagować. Jeżeli uważasz, że temat nadaje się na książkę, taką jakie Ty piszesz, to będzie mi bardzo miło”.

Musiało upłynąć nieco czasu, by te zapiski przybrały kształt powieści. Dziś pragnę gorąco podziękować Bohaterce za podzielenie się tą niełatwą historią życia. Wierzę, że może ona pomóc wielu osobom, które – podobnie jak powieściowa Marta – zmagają się ze „spadkiem po toksycznych rodzicach”. Ta opowieść potwierdza, że kod zapisany w naszym DNA ani nasza przeszłość nie muszą determinować naszej przyszłości.

Na ręce Grzegorza Przeliorza składam podziękowanie Wydawnictwu Szaron, dzięki któremu Wy, Drodzy Czytelnicy, możecie trzymać tę powieść w ręku.

Wielka w tym zasługa wspaniałego zespołu redakcyjnego, z którym po raz kolejny mam przywilej współpracować: Dominiki Czyż-Kufel, będącej również autorką zdjęć (to ogromny przywilej pracować z własną córką!), Iwony Hardej

(która tym razem zabawiła się również w detektywa) oraz Agnieszki Luberadzkiej. Skład oraz okładka to dzieło nieocenionej Sylwii Cupek. Dziękuję również betacytelnikom, których bystre oko wyłapuje wszystkie błędy.

A nade wszystko dziękuję najwspanialszemu Ojcu, w którym możemy znaleźć naszą prawdziwą tożsamość i który zapewnia, że kocha nas wieczną miłością (Jr 31,3).

Jeśli zechcecie, możecie napisać do mnie na FB „Mocniejsza niż śmierć – powieści Lidia Czyż” lub śledzić informacje na www.lidiaczyz.pl.

To prawdziwe piekło, kiedy chce się kochać własnego rodzica, a on robi wszystko, by się go znienawidziło. Tak było w przypadku mojej matki. Zimnym spojrzeniem potrafiła zmrozić każdego do szpiku kości. Jak Królowa Śniegu. Pamiętacie tę baśniową postać, która zamiast serca miała kawałek lodu? Kobietę o urzekającym wyglądzie, ale złym, egoistycznym usposobieniu? Z pozoru czarująca i miła, w rzeczywistości kochała wyłącznie siebie, a ludzi traktowała jak trofeum i się nimi bawiła. Dlatego, mimo swej potęgi, była samotna i nieszczęśliwa. Ta charakterystyka pasowała do mojej matki jak ulał. Dokładnie taka była – zimna, egoistyczna i nieprzewidywalna. Przez całe życie zabiegałam o jej akceptację, a ona uzmysławiała mi, że nie jestem warta miłości.

Niedawno przeczytałam zdanie, które mną wstrząsnęło: „Dziecko, które jest krzywdzone przez rodzica, nie przestaje go kochać; ono przestaje kochać siebie”. Tak było – ja nie tylko siebie nie kochałam, ale wręcz nienawidziłam. Nienawidziłam tak bardzo, że nie chciałam żyć, bo o całą sytuację w domu winiłam głównie siebie. Przecież gdybym była mądrzejsza i lepsza, matka na pewno by mnie kochała.

CZĘŚĆ 1

[...] *Słyszałem twoją modlitwę, widziałem twoje łzy.*

KSIĘGA IZAJASZA 38,5

1.

– Zgadnij, co ci przyniosłem? – wołał od progu tata, a ja udawałam zaskoczenie, choć doskonale wiedziałam, co trzyma za plecami: wedlowską czekoladę Jedyna. Tę, żadną inną.

– Masz czekoladę, masz czekoladę! – wykrzykiwałam, rzucając mu się na szyję.

W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, w czasach głębokiego socjalizmu, tabliczka czekolady była, zresztą podobnie jak każdy inny towar, rzadkim rarytasem, artykułem deficytowym, zdobywanym po znajomości. Tych ostatnich, dzięki umiejętności przypochlebiania się sprzedawczyniom w sklepie, ojcu nie brakowało. Dlatego słodkim przysmakiem mogłam się delectować do woli. Co więcej, byłam pewna, że nazwa – Jedyna – ma podkreślać, że jestem dla tatusia jedyną, ukochaną córeczką, całym jego światem.

Tego, jak wielkim kłamstwem to było, miałam się dowiedzieć dopiero wiele lat później. Na razie żyłam w błogiej nieświadomości hołubionej jedynaczki, tym bardziej że od mamy także słyszałam:

– Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnęłam cię mieć. Jesteś moim słońcem.

Wiele razy powtarzała, że jestem jej wyczekiwany, wytęsknionym dzieckiem. Wyszła za mąż po trzydziestce (a ojciec był od niej siedem lat starszy), co uważano wówczas za ostatni dzwonek. Może z powodu wieku, a może z innej przyczyny, długo nie mogła zajść w ciążę. Gdy w końcu jej się to udało – poroniła. Zdarzyło się to kilka razy.

– Takie drzewo, które nie rodzi, trzeba wyciąć! – krzyczał ponoć mój ojciec. Przynajmniej tak opowiadała mi mama.

– Był wściekły, niemal rozjuszony, stratą kolejnego dziecka, jakby to była moja wina – wyrzucała, nie kryjąc złości. A ja wraz z nią potępiałam zachowanie ojca.

Aż wreszcie, po czterech latach od ślubu, urodziłam się ja – Martusia. Ukochana córeczka mamusi i wymarzona córeczka tatusia. Upragniona, wyśniona. Zrodzona w bólach i łzach, jak opowiadała mama. Jedyna tatusiowa i jedyna mamusina. To dla mnie zdobywano czekoladki i inne frykasy spod lady.

Ale może to tylko moja wyidealizowana lub wręcz wymaginowana wersja najwcześniejszych wspomnień? Jednych z niewielu, bo prawda była zupełnie inna – nawet wszystkie czekolady świata nie byłyby w stanie zrekompensować atmosfery, jaka panowała w naszym domu, i osłodzić tej goryczy, która przelewała się pomiędzy moimi rodzicami.

Trudno mi pojąć, co w ogóle skłoniło ich do związania się węzłem małżeńskim, bo łączyła ich wyłącznie głęboka, zjadła, obopólna wrogość. I w sumie trudno stwierdzić, które z nich odczuwało większą niechęć wobec partnera. Przypuszczam, że matka – przynajmniej głośniej o tym mówiła. Chyba wcześniej, niż nauczyłam się chodzić, słyszałam od niej:

– Ten mięczak błagał mnie o rękę, klękał przede mną i zaklinał, żebym za niego wyszła. – Ton jej wypowiedzi aż

ociekał pogardą dla „tego mięczaka”, mojego ojca. – Ale ja go nigdy nie kochałam – podkreślała, jakby dowodziła, że przynigdy nie skalala się czymś tak niegodnym.

– To dlaczego za niego wyszłaś? – spytałam, gdy już rozumiałam sens, a raczej bezsens jej wypowiedzi.

– No... był już najwyższy czas. W moim wieku wypadało być mężatką. – Machnęła ręką, przewracając oczami.

Ponoć nienawiść jest silniejsza niż miłość. Małżeństwo moich rodziców było tego potwierdzeniem. Nie pamiętam, by oni kiedykolwiek zwrócili się do siebie uprzejmie, grzecznie czy chociażby poprawnie. Nie potrafili okazać sobie krzty ciepła czy szacunku. W konsekwencji nie tylko coraz bardziej oddalali się od siebie (o ile można być od siebie jeszcze dalej, niż oni byli), ale czerpali niemal perwersyjną przyjemność z faktu dokuczania i dopiekania sobie nawzajem do żywego, z ranienia i patrzenia, jak to drugie liże rany. Im głębsze – tym lepiej. Im boleśniejsze – tym mściwa radość większa. Ich wzajemna niechęć była bezustannie podsycana przez egoizm, samolubstwo i chciwość mojej matki, a ja wzrastałam w tej toksycznej, dusznej, trującej atmosferze. Gdy byłam dzieckiem, nie miałam oczywiście o tym pojęcia, dopiero wiele lat później, jako osoba dorosła, dostrzegłam, że nasiąkałam jadem negatywnych emocji jak gąbka wodą.

Matka nie mówiła o moim ojcu inaczej niż „ten Szelałow-ski”. On nie miał imienia, tylko nazwisko. I to takie! Idealne wręcz do wykpienia. Był „tym Szelałow-skim” – złym jak szelaąg, niegodnym poważania, nic niewartym.

A ja, z mlekiem matki karmiona pogardą, wierzyłam jej słowom i byłam przekonana, że to on jest wszystkiemu winien. W takim świetle mama cały czas mi go przedstawiała, a ja ją kochałam i ufałam jej bezgranicznie. To ojciec był

draniem, łachudrą, padalcem. To on zniszczył jej życie. To przez niego obie cierpiałymy. Gdyby nie on, życie byłoby *taaakie* cudowne. Wierzyłam w to. Och, jak bardzo wierzyłam! Myśli: „Gdyby go nie było, wtedy...” uczepliłam się jak rzep psiego ogona. Czekałam, aż coś się wydarzy i zmiecie tego niegodziwca z powierzchni naszej planety. Byłam lojalna wobec matki, nigdy wobec ojca. Przecież to on był zły. Zły jak szeląg. Nazwisko mówiło samo za siebie. Mimo że mama również przyjęła je po ślubie, samej siebie ze złym szelągiem absolutnie nie utożsamiała. Jakby ona nie była Szelągowską. Zawsze „ten zły” to był on. Albo jego nasienie, czyli ja.

Sama nie wiem, kiedy pierwszy raz usłyszałam wycedzone z wściekłością: „ty nasienie Szelągowskie”, ale dotknęło mnie to głęboko. Widocznie także musiałam być zła, bo przecież nosiłam jego nazwisko, byłam krwią z jego krwi, kością z kości. Miałam jego DNA wpisane w każdą komórkę. Nienawidziłam tego, kim jestem, i nie cierpiałam swojego nazwiska, szczególnie w połączeniu ze słowem „nasienie”. Niestety, zrodziłam się z tego nasienia – nie dało się temu zaprzeczyć ani tego ukryć, bo moje podobieństwo do taty było bezdyskusyjne. Taka sama okrągła, rumiana twarz, gęste, kędzierzawe blond włosy, takie same masywne, nieco toporne nogi. Od dziecka byłam nad wiek wyrosnięta, nieco ociężała, dorodna jak snop pszenicy na polu. Idealna do reklamy polskiej wsi.

– Ma głowę wielką jak Chruszczow! – Miał wykrzyknąć mój ojciec, gdy zobaczył mnie po urodzeniu (tak przynajmniej twierdziła mama). Czy też miał głowę jak Chruszczow, jeżeli byłam zrodzona na jego podobieństwo? Czy to było obraźliwe? Gdy matka mi o tym opowiedziała, rozśmieszyło mnie to. Od tamtej pory szukałam wizerunku *tego* Chruszczowa w filmach i na obrazkach. No, urodą ani czupryną ten

radziecki przywódca na pewno nie grzeszył, a głowę faktycznie miał wielką, ale przecież po urodzeniu wiele dzieci jest nieproporcjonalnych i ma łysą główkę.

Gdy rosłam, nie przypominałam już małego, a tym bardziej łysogo Chruszczowa – byłam wysoka i miałam bujne, jasne loki, jak tata. A psychicznie? Dziś wiem, że również w tej materii bliżej mi było do miecza niż do kądzieli. Byłam skryta i zamknięta w sobie, podobnie jak ojciec. Moje cechy charakteru zupełnie nie pasowały do mocnej, postawnej sylwetki, bo byłam nieśmiała, zakompleksiona, zahukana i chorobliwie bałam się obcych. Te cechy mojej osobowości nie tylko nie pomagały mi w życiu, ale bardzo je utrudniały. Zapewne gdybym nie została tak zdominowana przez matkę, nie byłabym tak bardzo nieufna. Niestety poczucie niższości i lękliwość wypełzały ze mnie jak wąż.

A właśnie od węża wszystko zaczęło się zmieniać na gorsze...

2.

Znajdowałam się w jakimś obcym, dużym pokoju. Po dwóch jego stronach stały dziecięce łóżeczka – kilka pod oknem i tyle samo po przeciwległej stronie. Ja leżałam w łóżku umieszczonym na skraj, zaraz przy drzwiach. Był środek nocy i wszystkie dzieci oprócz mnie spały. Panowała ciemność, wył wiatr, drzewa na zewnątrz szumiały, a poświata księżycy złowrogo oświetlała pokój. Drzwi na korytarz, na którym paliło się światło, były otwarte. Jeden chłopiec w głębi, zupełnie odkryty, głośno chrapał. A ja się bałam. Strasznie się bałam. Było mi zimno, a mimo to próbowałam się odkryć, tak jak ten chłopiec, bo myślałam, że w ten sposób uda mi się zasnąć, ale sen nie przychodził. Nagle coś prześlizgnęło się po mojej kołdrze w poprzek łóżka. Zamarłam. Za chwilę „to” wróciło. Usiadłam. To coś zaczęło się do mnie skradać. To był wąż – widziałam go wyraźnie. Jego łuski lśniły w świetle księżycy. „Skąd on się tu wziął? To przecież niemożliwe!” A jednak był i zbliżał się do mnie. Zeskoczyłam na podłogę. Zaczęłam uciekać, biegając wokół łóżeczka, a on za mną. Serce we mnie zamarło. Krzyknęłam, wołając o pomoc. Przybiegła jakaś pani. Nie wiedziałam, kto to jest.

– Tu jest wąż, on mnie goni! – tłumaczyłam przestraszona.
– Wąż?! Coś ci się śniło. Śpij, dziecko, niczego tu nie ma. –
Kobieta była oschła i niesympatyczna. Podniosła kołdrę i gestem nakazała mi się położyć.

– Ale ja go widziałam, na pewno tu jest, schował się pod łóżko – przekonywałam, gramoląc się niezgrabnie na materac.

– Wejdz pod kołdrę, zamknij oczy i śpij!

– Nie mogę spać, boję się – tłumaczyłam zdesperowana, naciągając kołdrę, z nadzieją, że ta pani mi pomoże.

– Nie hałasuj, bo obudzisz inne dzieci! Niczego tu nie ma. Wszystkie dzieci śpią, ty też powinnaś – podsumowała beznamiętnie.

– Zostań ze mną – poprosiłam.

– Nie mogę, jestem zajęta – stwierdziła z kamiennym wyrazem twarzy. – I nie krzycz więcej bez powodu.

– Zostań...

– Śpij wreszcie – poleciła stanowczo i wyszła.

Jej kroki umilkły, zostałam sama. Czekałam, aż wąż znowu się pojawi. I zjawił się. Chyłkiem przemknął w poprzek mojego łóżka. Zacisnęłam mocno powieki. „A jeśli wąż schował się pod łóżkiem?” Wstrzymałam oddech.

– Wężu, nie zrobisz mi nic złego? – szepnęłam trwożliwie.

Nie odpowiedział. Gdy otworzyłam oczy, kilka razy przeslizgnął się jeszcze po mojej kołdrze, ale nie zbliżał się do mnie.

„Może zrozumiał?” – pomyślałam, czując, jak moje mocno bijące serduszko zaczyna się uspokajać.

– Jesteś dobrym wężem, prawda? – upewniłam się jeszcze raz szeptem.

Usłyszałam cichy pomruk. Drzewa zaszumiały, księżyc schował się za chmury. Zrobiło się ciemniej i już niczego nie

widziałam. Leżałam przez chwilę w ciszy i ciemności. Nasłuchiwałam, leżąc bez ruchu, aż w końcu zasnęłam.

* * *

Rano obudził mnie szczebiotliwy hałas. Otworzyłam oczy i zobaczyłam gromadkę dzieci. Byłam wystraszona, bo nie znałam żadnego z nich. Wszystko było obce. „Co ja tutaj robię? Skąd się tu wzięłam? Gdzie moja mamusia? Gdzie tatuś? A te dziwne panie – kim są?” Żadna z nich się nie uśmiechała. Patrzyły gniewnie, usiłując zapanować nad rozbieganą grupą. Ze mną nie było kłopotów – serce łomotało mi z trwogi, więc ledwie mogłam się ruszyć.

– A ty czemu jeszcze w łóżku? – spytała z oburzeniem jedna z pań. – Wstawaj szybko i dołącz do dzieci!

Posłusznie wykonałam wszystkie polecenia, choć drżałam z przerażenia. Panie ustawiły nas w szeregu, aby zaprowadzić do łazienki. Każde dziecko trzymało w rączkach mydło, pastę do zębów i szczoteczkę. Moje rączki były puste.

– Dziecko, a gdzie masz swoje przybory toaletowe? – usłyszałam jękliwy głos nad sobą.

Milczałam. Nie wiedziałam, gdzie mam. Nie wiedziałam nawet, że powinnam je mieć.

Dzieci zaczęły myć zęby, ja stałam w kącie i tylko się przyglądałam. W pewnym momencie jedna z pań odebrała szczoteczkę ciemnowłosemu chłopcu.

– Teraz twoja kolej. – Podała mi jego szczoteczkę. – Kolega na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu – zapewniła mnie.

Chłopiec faktycznie nie miał nic przeciwko temu, widocznie nigdy nie słyszał o zarazkach. Ja już o nich słyszałam

i pamiętałam, że szczoteczek do zębów pod żadnym pozorem się nie pożyczą. Byłam więc zbulwersowana, że taka duża, dorosła pani proponuje mi zarażenie się zarazkami jakiegoś chłopca. Stałam jak posąg, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Pani szarpnęła mnie za rękaw piżamki i próbowała siłą przyciągnąć do umywalki. Zacisnęłam usta i się rozplakałam.

– Beksa-lala, beksa-lala – usłyszałam za sobą.

Dzieci śmiały się ze mnie, a ja jeszcze bardziej płakałam i chciałam zniknąć z tego potwornego miejsca. Niestety, nie mogłam.

Zapłakana i z nieumytymi zębami poszłam za dziećmi do sali, w której stały małe stoliczki. Wokół każdego rozstawiono sześć krzesłek. Pani wskazała mi jedno z nich. Podano śniadanie. Byłam tak przerażona, że zjadłam grzecznie wszystko, nawet biały ser, którego nie znosiłam. Po śniadaniu dzieci na komendę wstały i udały się do kąjika zabaw. Stałam z boku i tylko je obserwowałam. Nie miałam odwagi do nich podejść, a tym bardziej bawić się z nimi, choć bardzo tego pragnęłam.

Miałam wtedy pewnie jakieś cztery lata i nie wiedziałam, że znalazłam się w żłobku tygodniowym. Dzieci przebywały w nim od poniedziałku do soboty, do domów zabierano je na niedzielę. Zazwyczaj umieszczali je tutaj rodzice, którzy dużo pracowali i nie mieli z kim zostawić potomstwa albo nie mieli warunków mieszkaniowych, by wychowywać dziecko – w tamtych czasach nierzadko trzy pokolenia mieszkały w jednej izbie.

W moim przypadku było trochę inaczej, ale tego na początku nikt mi nie wyjaśnił. Dopiero wiele miesięcy później tata napomknął, że mama nagle zachorowała na gruźlicę i znalazła się w szpitalu. Ale dlaczego on zostawiał mnie w tym strasznym miejscu na cały tydzień? Czy bał się, że sobie nie poradzi, i dlatego umieścił mnie w żłobku tygodniowym, a nie dziennym? Przecież po pracy wracał do domu, więc mógł mnie odbierać choćby kilka razy w tygodniu, gdyby tylko chciał. Dlaczego tak nie robił? Nigdy się nie dowiedziałam. Podobnie jak tego, dlaczego nikt nie pomyślał, by zaopatrzyć mnie w przybory do higieny. Prawdopodobnie ojciec nie myślał o takich drobiazgach jak mydło czy szczoteczka do zębów.

Nie miał też chyba pojęcia, jak bardzo nieszczęśliwa byłam w tym przerażającym miejscu. Pozbawiona wszystkiego, co znane, kochane i bliskie, czułam się opuszczona, dezorientowana i zagubiona. Miałam wrażenie, że jestem tutaj od bardzo dawna i już się stąd nie wydostanę, a każdy dzień włókł się niemiłosiernie.

Długo trwało, nim oswoiłam się z dziećmi i zaczęłam uczestniczyć w ich zabawach, bo za każdym razem musiałam pokonywać paraliżujące onieśmienie. Zazwyczaj stałam w kącie, ssąc kciuk, stale słyszałam więc od pań:

– Wyjmij palec z buzi! Taka duża dziewczynka, nie wstyd ci?!

Było mi wstyd, ale to było silniejsze ode mnie. Uspokajało mnie, wyciszało i pozwalało poradzić sobie z emocjami.

Któregoś pięknego słonecznego dnia zaraz po śniadaniu ustawiono nas parami i ogłoszono, że wybieramy się na wycieczkę.

Było nas sporo, dlatego panie, aby opanować kroczącą gromadkę, kazały nam trzymać się w parach za ręce i jednocześnie każdy z nas miał chwycić za ubranie dziecko stojące przed nim. W taki sposób stanowiliśmy zwartą grupę i nikt nie mógł się zgubić. Wyglądało to zapewne uroczo, więc przechodzący ludzie uśmiechali się do nas. Dziewczynka idąca przede mną miała ciemnozielony płaszczyk, uszyty z grubego, szorstkiego i nieprzyjemnie gryzącego materiału. Trudno było mi go utrzymać, mimo że kurczowo zaciskałam rączki, i cały czas się bałam, że przeze mnie „pociąg” się rozsypie.

Drzewa, pośród których szliśmy, dawały przyjemny cień. Wydawało mi się, że jesteśmy w lesie, lecz panie mówiły, że to park.

– Nie rozbiegajcie się! – upominały nas raz za razem. – Trzymajcie się razem.

Słońce prześwitywało pomiędzy gałęziami. Było na tyle ciepło, że panie usadziły nas na kocach, w wysokiej trawie wśród krzewów.

Ktoś zaproponował zabawę w głuchy telefon. Nie znałam jej, jednak zasady okazały się całkiem proste. Wybrane dziecko mówiło jakieś zdanie dziecku siedzącemu obok, a ono powtarzało je na ucho następnemu. Usiłowaliśmy powtórzyć wszystko wiernie, ale i tak wychodziły śmieszne przejęzyczenia. Wydawało mi się to nadzwyczaj zabawne. Do tego stopnia, że chciałam wymyślić kolejne hasło. Zgłaszałam się wytrwale, aż wreszcie zostałam wybrana. Pękałam z dumy, myśląc o zdaniu, które za chwilę wszyscy powtórzą.

Na końcu szeregu siedziała dziewczynka o imieniu Karina, która stanowiła dla mnie niedościgniony wzór. Była drobną, śliczną brunetką o wesołym usposobieniu i miała najładniejsze ubrania z nas wszystkich. Dużo mówiła o mamusi

i tatusiu, którzy ją bardzo kochają. Karinka nie miała żadnych problemów z nawiązywaniem relacji. Gromadziła wokół siebie mnóstwo oczarowanych nią koleżanek, wychowawczynie też ewidentnie ją faworyzowały. Ja byłam jej przeciwieństwem – zbyt nieśmiała i zamknięta w sobie, by ktoś mnie lubił. Zazdrościłam Karince, że wszyscy ją tak kochają, a jednocześnie pragnęłam się z nią zaprzyjaźnić. Z całych sił zabiegałam, żeby mnie polubiła. Myślałam, że wtedy wszyscy inni też mnie polubią, może nawet pokochają. Próbowałam więc wymyślić takie zdanie, które jej się spodoba i z którego będzie się cieszyła, gdy je głośno wypowie jako ostatnia. To miał być pierwszy krok do naszej przyjaźni. Ponieważ tak bardzo chwaliła się miłością swoich rodziców, a ja sama szalenie za takim uczuciem rodziców tęskniłam, wywnioskowałam, że jest ich oczkiem w głowie. Dlatego wyszeptalam na ucho koleżance siedzącej obok mnie zdanie: „Bubuś tatusia, duduś mamusi”. Te określenia, które kiedyś usłyszałam, wydawały mi się niezwykle ciepłe, ujmujące – takie, które sama chciałam usłyszeć, bo oznaczały, iż jestem kochana. Obserwowałam z zapartym tchem, jak kolejne osoby, przykładając rękę do ucha sąsiada, przekazują dalej moją wiadomość. Aż wreszcie dotarła ona do mojej idolki. Zadowolona, czekałam na jej entuzjastyczną reakcję, lecz zobaczyłam, że jej oczy się rozszerzają. Po chwili zaczerwieniła się i dosłownie eksplodowała:

– Kto to powiedział? – zakrzyknęła z wściekłością. – Kto? Ty?! – Wskazała mnie palcem.

Byłam tak zaskoczona, że nie umiałam wydobyć z siebie głosu. Skuliłam się cała.

– Nie rozmawiam z tobą! Jesteś głupia! Sama jesteś „bubuś tatusia, duduś mamusi”! – wycedziła z ironią – Idiotka! –

Chwyliła grudkę ziemi i rzuciła nią we mnie. Wstałam, oniemiała.

– Co się tutaj dzieje? – Pani, zaalarmowana krzykiem, obrzuciła nas chłodnym spojrzeniem.

– Ona mnie przeżywa! – wyrzuciła płaczącym głosem Karina, pokazując mi palcem.

– Dlaczego tak robisz? Nie wolno przeżywać koleżanek! – skarciła mnie sucho wychowawczynie.

Zesztywniałam. Wszystkie dzieci zaczęły się ode mnie odsuwać. Znow wszystko poszło nie tak... Byłam tą złą, która „się przeżywa”, zostałam napiętnowana nie tylko przez dzieci, ale również przez panią. Staralam się zyskać przyjaciółkę, a narobiłam sobie wrogów. A najgorsze było to, że Karinka, do której tak usilnie pragnęłam się zbliżyć, poniżyła mnie i odepchnęła.

Żłobek tygodniowy, w którym już wcześniej trudno mi było wytrzymać, od tego momentu stał się dla mnie miejscem nie do zniesienia.

Nawet niedziele – jedyny jasny promyk w ciemności, na które czekałam jak na ratunek – były smutne. Zbyt krótkie, aby się cieszyć, bo wieczorem zbliżała się chwila powrotu do okropnej placówki. W poniedziałkowy poranek podejmowałam więc desperackie wysiłki, aby zostać w łóżku.

– Tatusiu, jestem chora, boli mnie gardło – przekonywałam. – Dzisiaj nigdzie nie idę.

Ojciec był jednak nieugięty.

– Ubieramy się szybko i wychodzimy – mówił stanowczo i wyciągał mnie z pościeli.

Marudziłam i ociągałam się, dlatego aby mnie zmusić do szybszego wstawania czasem obiecywał:

– Przyjdę po ciebie dzisiaj zaraz po pracy.

Czekałam więc po leżakowaniu, godzinami wpatrując się w drzwi, czy nie stanie w nich tatuś. Niestety, na próżno. Nie przyszedł ani razu. Wkrótce zorientowałam się, że są to wyłącznie czcze deklaracje. Odbierał mnie zawsze dopiero po tygodniu.

W jedną z sobót, gdy tatuś po mnie przyszedł, poszliśmy jak zwykle na przystanek, ale wsiedliśmy do czerwonego autobusu jadącego w kierunku przeciwnym, niż był nasz dom.

– Dokąd jedziemy, tatusiu? – spytałam, rozglądając się po nieznaney okolicy.

– Do szpitala, do mamy.

– Do mamy? – Z radości aż zaparło mi dech w piersiach.

– Ale musisz tam być bardzo grzeczna, bo dzieciom nie wolno wchodzić do sali, rozumiesz?

– Yhm – mruknęłam, kiwając głową.

– Rozumiesz? – Tata ponowił pytanie. – Masz być grzeczna i słuchać mnie we wszystkim. Obiecujesz?

– Tak. – Znów skinęłam głową. W żłobku cały czas musiałam być grzeczna, więc doskonale wiedziałam, co przyrzekam.

Gdy wysiedliśmy z autobusu, tata wskazał ręką budynek i powiedział:

– To tutaj. Pamiętaj, co obiecałaś!

Stary, ogromny gmach, z którego miejscami odpadał tynk, było widać z daleka. Gmaszysko wzbudzało grozę wyglądem, a także przeznaczeniem – mieścił się tam szpital, w którym leczono gruźlicę i inne choroby płuc. Dzieci absolutnie nie miały tam wstępu, więc nie mogłam wejść na salę. Ponieważ jednak moja matka była już podleczona, ojciec postanowił w tajemnicy przed lekarzami (a w sobotę było ich w szpitalu niewielu) zaaranżować moje spotkanie z mamą w mało uczęszczanym przejściu. Obeszliśmy budynek i ciemną klatką

schodową udaliśmy się na piętro. Znaleźliśmy się w wysokim pustym holu, którego ściany miały okropny ciemnooliwkowy kolor.

– Usiądź na krześle i zaczekaj chwilę – polecił ojciec i zniknął za wysokimi drzwiami z zamalowanymi na biało szybkami.

Byłam przerażona, bo to miejsce wydawało mi się jeszcze bardziej odpychające niż tygodniowy żłobek. Ze strachu zaciśkałam pięstki, aż nagle w drzwiach pokazała się... moja mama, ubrana w seledynowy szlafrok frotte, przewiązany paskiem.

– Mama! – krzyknęłam, zrywając się z krzesła.

Ona wyciągnęła do mnie ręce, lecz zaraz je cofnęła, a ojciec szybko podskoczył do mnie i mocno chwycił mnie za ramię.

– Nie wolno ci podchodzić do mamy! – zawołał ostro.

„Tak długo jej nie widziałam i nawet nie mogę się do niej przytulić?!”

– Ja chcę do mamusi! – Wyrываłam się z płaczem.

Mama również się rozplakała, ale ojciec trzymał mnie za ramiona i krzychał:

– Nie możesz! Nie wolno ci się zbliżyć!

Czułam się strasznie.

– Chcę do mamusi! – wyłam coraz głośniejsze.

Ojciec ścisnął mnie jeszcze mocniej i zaczął ciągnąć w dół po schodach. Nie zamierzałam iść, opierałam się. Jedną ręką chwyciłam się metalowej poręczy, a drugą wyciągałam do mamy, która stała na szczycie schodów i ocierała łzy.

– Idź z tatusiem, Martusiu! – wołała. – Idź z tatusiem...

„Dlaczego mama każe mi odejść? Czemu stoi tam bez ruchu? Dlaczego mnie nie przytuli?” Nic z tego nie rozumiałam.

Cały czas szarpałam się z tatą, który wołał, że mam się uspokoić, aż zaczęła mnie boleć ręka, za którą mnie ciągnął. W końcu ojciec wziął mnie pod pachę i wyniósł na dwór.

– Uspokój się wreszcie! – warknął z wściekłością, stawiając mnie mocno na ziemi.

Skapitulowałam i posłusznie poczłapałam z nim na przystanek. Padał deszcz, było szaro, ponuro i pochmurnie. Taki sam posępny nastrój panował w moim sercu. Nie miałam pojęcia, dlaczego mama mnie nie przytuliła, dlaczego stała tam jak słup soli. Tata niczego mi nie wyjaśnił. Nie powiedział, że kontakt z chorymi na gruźlicę jest surowo zabroniony, ponieważ łatwo można się zarazić. Nie wiedziałam tego i byłam pewna, że dzisiaj odrzuciła mnie mama, a jutro zostawi mnie tata. Bałam się, że zostanie zupełnie sama w tym dziwnym, wielkim domu, z oschłymi paniami i dziećmi wytykającymi mnie palcami. Czułam się odrzucona i samotna. Strasznie samotna. Tak bardzo pragnęłam, żeby ktoś mnie przygarnął, pogłaskał, wyszeptał, że mnie kocha, i został ze mną do końca świata.

Dorośli miałyby problem, by to wszystko unieść, a co dopiero kilkuletnie dziecko.

Dni w żłobku były do siebie bliźniaczo podobne i wlekły się niemiłosiernie, ale powoli przywykłam do rutyny i sztywnego rozkładu zajęć, do posiłków, które zjadałam posłusznie, choć nie zawsze mi smakowały, do dzieci, które mnie nie lubiły, i do pań, które nie zwracały na mnie uwagi. Podczas zabawy udawało mi się czasem zapomnieć o tęsknocie za mamusią i tatusiem. Próbowałam śpiewać, bo to sprawiało, że smutek na chwilę zniknął.

By nas zabawić, panie organizowały zajęcia muzyczne, plastyczne oraz ruchowe. Bawiliśmy się w *Stary niedźwiedź*

mocno śpi, Kółko graniaste oraz Mam chusteczkę haftowaną, co ma cztery rogi. Niezmiernie lubiłam, gdy jedna z pań, Dorotka, rozśmieszała nas, przebijając się w nasze sukienki, bluzki i koszule nocne. Oczywiście nie wchodziła w nie, tylko wciągała je na siłę na rękę lub nogę i wyglądała przekomicznie. Dla mnie była to przednia zabawa, wywołująca dużo śmiechu, którego bardzo mi brakowało.

Nie wiem, ile czasu przebywałam już w żłobku, prawdopodobnie kilka, a może nawet kilkanaście miesięcy, gdy pewnego dnia podczas zabawy nagle usłyszałam swoje imię i nazwisko:

– Marta Szelałowska. – Jedna z wychowawczyń stała w drzwiach i rozglądała się po sali.

Skuliłam się za małym stolikiem, przy którym się bawiłam. „Znów ktoś na mnie naskarżył? Przecież byłam grzeczna i nie zrobiłam nic złego”. Miałam ochotę wejść pod krzesło, by się ukryć.

– Czy jest tu gdzieś Marta Szelałowska? Czy ktoś ją widział? – Wychowawczynie ponowiła pytanie.

– Tu jest! – Kilkoro dzieci wskazało moją kryjówkę.

Czułam się jak wyrzutek i chciałam stać się niewidzialna. Pani jednak zauważyła mnie i podeszła.

– Chodź, dziecko. – Wzięła mnie za rękę, ale ja się ociągałam. – Przyszła twoja mamusia – wyjaśniła.

Nie wierzyłam własnym uszom. „Przyszła mamusia? Hurra!”

– Bądź grzeczna, miła i dużo się uśmiechaj – poinstruowała mnie wychowawczynie.

„Oczywiście, że będę grzeczna i będę się uśmiechać! Nareszcie przysłała moja mamusia! Co za szczęście! Wrócę do domu! Teraz już wszystko będzie dobrze. Hurra!”

Pani zaprowadziła mnie do pokoju obok. Prócz mojej mamy były tam jeszcze dwie wychowawczynie. Wszystkie obserwowały mnie z uwagą i jakoś sztucznie się uśmiechały. Mama też się uśmiechała, ale była dziwnie obca i inna, niż ją zapamiętałam. Stała nieruchomo, nie przytuliła mnie, a jedynie mi się przyglądała. Zawstydziłam się i nie potrafiłam zrobić kroku. Miałam wrażenie, jakbym wrosła w ziemię, a przecież tak czekałam na to spotkanie...

Nagle wszyscy zaczęli coś do mnie mówić.

– Chodź, podejdź bliżej – zachęcała jedna z pań.

– No powiedz coś, przywitaj się z mamusią – mobilizowała druga, popychając mnie lekko.

A ja stałam. Wreszcie po kilku minutach udało mi się przełamać. Poczułam się pewniej i podeszłam do mamy, która chwyciła mnie za rękę. Wyszliśmy na dziedziniec. W tym momencie lody stopniały. Ach, jak się cieszyłam! Wprost zalała mnie fala szczęścia, zaczęłam skakać i biegać. Nareszcie byłam sobą.

– Goń mnie! – zawołałam wesoło do mamy i pobiegłam przed siebie. – A kuku! – Wychyliłam się zza ogromnego słupa. – Szukaj mnie! – Tłumiona tygodniami energia zaczęła mnie rozpierać.

– Chodź tu, Martusiu, nie uciekaj! – wołała za mną mama.

– A kuku, jestem tutaj, szukaj mnie! – Próbowałam bawić się w chowanego, biegałam i podskakiwałam.

– Przestań natychmiast, słyszysz?! – krzyknęła ostro mama. W sekundę zmienił się wyraz jej twarzy. – Wracaj tu i przestań się chować! Przyszłam cię odwiedzić, a ty ode

mnie uciekasz. – Patrzyła na mnie groźnie. – Stań tu, pokaż, czy masz czyste ręce, wyprostuj się! Jesteś niegrzeczna! – zganiła mnie i przyciągnęła do siebie. – Czemu masz taką minę? Nie podoba ci się, że do ciebie przyszedłam? – W jej głosie słyszałam wyłącznie pretensję.

Już nie byłam wesoła. Nie chciałam skakać i biegać. Już się nie cieszyłam. Mama, na którą tak czekałam, krzyczała i patrzyła na mnie złowrogo. Mówiła do mnie głosem nieznoszącym sprzeciwu. Napominała mnie, karmiła i przywoływała do porządku. I oczekiwała, że będę natychmiast wykonywać jej polecenia. Była obca i zimna. Nazywała mnie Martusią i jedynie to słowo w jej ustach było ciepłe i miłe. Pozostałe brzmiały odpychająco i napawały strachem.

– Za jakiś czas wezmę cię do domu. Muszę jeszcze nabrać trochę sił. Na pewno na to czekasz, prawda? – spytała mama na koniec.

Potwierdziłam skinieniem głowy, ale w sercu czułam ogromny smutek i nie potrafiłam wydusić słowa.

Rozczarowana, z ulgą wróciłam do sali, choć wcześniej nie cierpiałam tego miejsca. Dzieci zaczynały właśnie jeść kolację. Wiedziałam, że wkrótce mam się z nimi pożegnać, opuścić żłobek i wrócić do naszego domu, w którym od długiego czasu spędzałam z tatą tylko niedziele. Ale po spotkaniu z mamą już tego tak bardzo nie pragnęłam.